

Testament splinicznego poety

I

Paryski splin, zbiór pięćdziesięciu poematów prozą, ukazał się w roku 1869; opublikowali go przyjaciele Baudelaire'a w dwa lata po jego śmierci. Dla wywołania wrażenia, że poeta zdążył przed śmiercią przygotować *Splin* do druku, otworzyli go dedykacją dla Arsena Houssaye i zamknęli wierszowanym epilogiem. Wykorzystali w tym celu interesowną dedykację, poprzedzającą kilkanaście poematów ogłoszonych wcześniej w redagowanym przez Houssaye'a dzienniku oraz zaniechany szkic epilogu do *Kwiatów zła*. Kolejność pięćdziesięciu utworów odpowiadała sporządzonemu ręką Baudelaire'a wyliczeniu, odtwarzającemu z grubsza chronologię ich powstawania i publikacji w czasopiśmie. Przyjaciele postąpili zgodnie z obowiązującymi wówczas normami, choć bez wątplenia dopuścili się nadużycia, *Splin* jest bowiem dziełem przerwany przez niedowład woli, chorobę i śmierć. Wedle zamysłu poety miał obejmować, podobnie jak pierwsze wydanie *Kwiatów*, dokładnie sto utworów.

Owa setka dzieliłaby się na cykle: Rzeczy paryskie, Onirokrytyka (albo Sny), Symbole i przypowieści – ich nazwy znamy ze spisów zamierzonych poematów. Zachowane spisy obejmują tytuły ponad sześćdziesięciu utworów, które Baudelaire zapewne dokładnie przemyślał, skoro w swoim karnecie na ich napisanie przeznacza jedynie sto godzin. W projektowanym zbiorze niektóre z gotowych już poematów, jako słabsze bądź nieprzystające do całości, zostałyby może pominięte, pozostałe poeta ułożyłby w innej kolejności. „Poematy prozą ukażą się w drugiej połowie tego roku, u Hetzla, dostaną tytuł *Paryski splin, pendent do Kwiatów zła*. Fragmenty już opublikowane miały przypadkową kolejność. W tomie wprowadzę specjalny układ” – pisze w liście do Armanda Fraisse z 5 kwietnia 1865 roku. Ten tom, dwukrotnie obszerniejszy od

znanego nam *Paryskiego splinu* i mający wyrazistszą architekturę, zrodzony z atmosfery wielkiego miasta i nasycony współczesnością, pisany prozą „dość giętka, ale i dość dysonansowa, by oddać liryczne porywy duszy, falowanie marzeń i nagłe drgnięcia sumienia”, byłby – jak marzył poeta – jego drugim co do ważności dziełem, dopełnieniem *Kwiatów zła*. Bo też dla nowego dzieła Baudelaire wynalazł i mistrzowsko wykorzystał nową formę, która – przy zachowaniu walorów poezji – pozwalała na niemal doskonałą ścisłość wypowiedzi, formę niezwykle pojemną, umożliwiającą syntezę liryki, filozofii i moralistyki, zbiegających się już wcześniej w jego twórczości.

Baudelaire’owskie poematy prozą, ukazujące się w czasopiśmie poczynawszy od roku 1857, na ogół przyjmowane były nieprzychylnie. Zbijały z tropu czytelników i krytyków: nie pasowały do obowiązujących wzorców, wydawały się równie dziwaczne jak ich owiany niezyczliwą legendą autor. Te zniechęcające reakcje, a także inne zajęcia, głównie praca nad drugim wydaniem *Kwiatów*, *Sztucznymi rajami* i *Malarzem życia nowoczesnego*, opóźniały realizację zamierzonego dzieła. Baudelaire poświęcił mu więcej czasu dopiero na początku lat sześćdziesiątych i jesienią 1862 roku miał gotowych około trzydziestu poematów, a w kwietniu 1864, przed wyjazdem do Brukseli – ponad czterdzieści. W Belgii, gdzie spędził dwa lata dręczony mizantropią i abulią, szybko zarzucił pisanie *Splinu* i już tylko o nim marzył. Na początku listopada 1864 pisze do matki: „Ta przekłeta książka, na którą tak liczyłem, czeka przerwana w połowie”. Nikt nie pochyła się bezkarnie nad otchłanią Splinu, tchnącą miazmatem rozstroju i rozkładu.

Tom, który Czytelnik bierze do ręki, choć uboższy od wymarzonego przez poetę, jest jednak w znacznym stopniu urzeczywistnieniem jego nadziei i zamysłów. Związany tematycznie z *Kwiatami zła* i pokrewny im duchem, a jednocześnie tak od nich odmienny, jest następnym wielkim osiągnięciem poetyckim. Baudelaire wydobywa tu poezję z niewyko-

rzystanych wcześniej źródeł: z błahej anegdoty, okruchów paryskiej codzienności, z wytartych metafor i potocznego języka. Tworzy nie tylko „poetycką prozę, muzyczną, choć pozbawioną rytmu i rymu”, ale również – a może przede wszystkim – poezję prozy i prozaizmu, tworzy nowoczesną mitologię, której herosi noszą czarne wygniecione fraki. Poematy *Splinu* uderzają bogactwem pomysłów oraz różnorodnością form i nastrojów, łączą, jak pisał w liście do matki z 9 marca 1865, „grozę z groteską i czułość z nienawiścią”. Jednocześnie są zwięzłe, oszczędne i precyzyjne. Uderzają także dociekliwością i odwagą analizy. *Splin* jest bowiem medytacją o kondycji ludzkiej i mrocznych zakamarkach duszy, owocem „jesieni myśli”, dziełem wieku męskiego, kiedy poeta – rozczarowany, rozgoryczony, często rozdrażniony światem, ludźmi i sobą, ale zarazem bardziej otwarty i mniej niż kiedyś skłonny do prowokacji własnym zepsuciem – wciąż jeszcze pewną ręką pisze swe przesłanie.

Próbę zrozumienia owego przesłania z pewnością utrudnia niewykończenie *Splinu*, brak istotnych, być może, ogniw i prowizoryczna kolejność poematów. W twórczości Baudelaire’a nic bowiem nie jest dziełem niekontrolowanego przypadku. Nie dość, że poszczególne utwory mają przemyślną konstrukcję – z ich kunsztownego układu w cyklu czy tomie autor wydobywa dodatkowe, nierzadko zasadnicze znaczenia. Czytelnicy *Kwiatów zła* od dawna wiedzą o ich „tajemnej architekturze”. Wyraźniejsza w drugim wydaniu, nadaje zbiorowi charakter relacji z etapów duchowej wędrówki bohatera (ale oczywiście nie samego poety), który swego ideału szuka kolejno w Bogu, pięknie, kobiecie, braterstwie z wielkomięjskimi rozbitkami, w narkotykach, złu, Szatanie, aż wreszcie znajduje go w Śmierci. Architektura nie ogranicza się oczywiście do tak uproszczonej „akcji”, tworzy ją także złożona gra tematów, motywów i słów-kluczy. Podobną grę widać także w *Paryskim splinie*. Baudelaire zamierzył bowiem dzieło, którego elementy, wzajemnie się zazębiając, miały utworzyć coś więcej niż swoją sumę. Jedne

I. Obcy¹

-139

– Kogo kochasz najbardziej, zagadkowy człowieku? Powiedz: ojca, matkę, siostrę czy brata?

– Nie mam ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata.

– Przyjaciół?

– Sens tego słowa do dziś jest mi nieznany.

– Ojczyznę?

– Nie wiem, pod jakim niebem leży.

– Piękno?

– Chciałbym je kochać, boskie i nieśmiertelne.

– Złoto?

– Nienawidzę go tak, jak wy nienawidzicie Boga.

– Hm! Cóż zatem kochasz, dziwny cudzoziemcze?

– Kocham obłoki... zwiewne obłoki... o, tam... tam... te cudowne obłoki!² -140

II. Rozpacz staruszki

Malutka pomarszczona staruszka rozpromieniła się z radości na widok tej ślicznej dzieciny, której każdy się przymiłał i której wszyscy chcieli się spodobać, tej ślicznej istotki, kruchej jak ona, malutka staruszka, i jak ona bez zębów i bez włosów.

I zbliżyła się do dziecka, chcąc je zabawić gaworzeniem i wdzięcznymi minkami.

Lecz przerażone dziecko wyrywało się pieścizotom dobrej starowinki, napęlniając cały dom piskiem.

A więc dobra staruszka wróciła w swą wieczną samotność i popłakując w kącie rozmyślała: – „Ach, my nieszczęsne stare samice, minęły już lata, kiedy mogłyśmy się podobać, choćby niewiniątkom; budzimy strach i odrazę w malutkich dzieciach, które chcemy kochać!”

III. *Confiteor* artysty

Jakże przejmujące są schyłki jesiennych dni! Och, przejmujące aż do bólu! Zdarza się bowiem, że uczucie rozkoszy jest nieuchwytnie i zarazem niezwykle intensywne; i nic nie rani dotkliwiej niż ostrze Nieskończoności.

Niezmierna zaiste rozkosz tonąć spojrzeniem w otchłani nieba i morza! Samotność, cisza, niepokalana czystość błękitu, żagielek, co drży na horyzoncie, swą nikłością i osamotnieniem naśladować moje nieodwracalne życie, monotonna melodia fal – to wszystko myśli przeze mnie, albo też ja myślę przez to wszystko (bo w bezmiarze marzenia nasze *ja* szybko się rozplywa!); to wszystko, jak mówię, myśli przeze mnie, ale muzyką i obrazami, bez sylogizmów, bez sofizmatów, bez wywodów¹.

~140

Jednakże myśli, płynące ze mnie, czy też z tego, co mnie otacza, prędko nabierają nadmiernej intensywności. Natężenie rozkoszy rodzi niepokój i niewątpliwe cierpienie. Moje zbyt napięte nerwy drgają już tylko zgrzytliwie i boleśnie².

~140

Teraz głębia nieba mnie oszłamia; jego przejrzystość mnie drażni. Nieczułość morza, nieruchomość pejzażu oburza mnie i odpycha... Och, czyż mam wiecznie cierpieć, czy wiecznie uciekać przed pięknem? Naturo, czarodziejko bezlitosna, rywalko zawsze zwycięska, poniechaj mnie! Nie wystawiaj więcej na próbę mych pragnień i mojej dumy! Zgłębianie piękna to pojedynek, w którym artysta krzyczy w przerażeniu, zanim ulegnie pokonany.